

~~Postanowiłam nie wracać~~ ~~Postanowiłam nigdy nie wrócić~~

Postanowiłam nigdy nie wrócić

Krystyna ~~Buczyńska~~ ^{Bożyńska} - pochodzenie z rodziny inteligentnej, urodzona w 1919 roku w Piotrkowie Tryb. zamieszkała przed wojną we Swonie i Bronystarciu,

~~Przejechałam nie wracać~~

ukończyła Liceum im. Ułłowej Jadwigi we Swonie, studiowała w latach 1937-39 w Szkole Nauk Politycznych w Bazju. Materiała do harcerstwa, do Stowarzyszenia

© ARCHIWUM WSCHODNIE

(1919 rok)

o part. dyktando

Urodziłam się w Piotrkowie Trybunalskim, ale już we wczesnym wieku po urodzeniu matkę wyjechała ze mną na front wojny polsko-radzieckiej, gdzie walczył mój ojciec z wojskami polsko-radzieckiej, z której wyszedł w stopniu rotmistrza kawalerii, (IX Pułk Ułanów)

już na kiesz.

pracował aż do 1939 roku w firmie naftowej "Gazolina". Był także znany na Kresach działaczem politycznym, między innymi - posłem na Sejm, ~~1937~~ numerem BBK na terenach województwa podlasko-wielkopolskiego, prezesem Obozu Zjednoczenia Narodowego i Związku Legionistów we Lwowie, gdzie mieszkaliśmy. Matka pracowała społecznie, a poza tym zajmowała się domem, mną i moim młodszym bratem Bronisławem.

W miarę jak Polska utrzymywała się gospodarczo i politycznie, naszej rodzinie powodziło się coraz lepiej, a w 1936 roku rodzice kupili we Lwowie parcelę i zbudowali dość skromną, jak na poglądy wielu naszych znajomych, pięciopokojową willę. Po maturze w roku 1937 rodzice wysłali mnie do Paryża na studia ^(w Szkole Nauk Politycznych). Wydawało mi się wówczas, że życie jest piękne i doskonale ułożone, a Polska to nie tylko po prostu ukochana ojczyzna, ale wręcz niewzruszony kamień węgielny naszego bytu. Wstrząs nastąpił po dwóch latach.

Wakacje spędzałam wówczas w domu i właściwie już 23 sierpnia, kiedy to przyszła wiadomość o zawarciu paktu o nieagresji między Rosją Sowiecką a Niemcami hitlerowskimi, zaczęła się dla nas wojna. Ja - młoda i niedoświadczona - bardzo pragnęłam się jeszcze ludzi, bo przecież przez całe życie, które upłynęło mi w niepodległej ojczyźnie, uczono mnie, że jesteśmy silni, zwarci i gotowi. Ale gdy już 14 września pod Lwów podeszli Niemcy, zaczęłam rozumieć, że musi być bardzo źle.

A potem przyszedł ten najgorszy chyba z całej wojny dzień - 17 września. Była to niedziela, piękna pogoda, jak zresztą przez cały

ten nieszczęsny wrzesień. Wstałam rano, i jak codziennie pobiegłam do radia, posłuchać co się dzieje na świecie i na innych niż Lwów frontach. Bo my też już byliśmy na froncie, a Niemcy znajdowali się dosłownie o kilkanaście metrów od naszego płotu, po drugiej stronie ulicy. Tymczasem przez wszystkie stacje przebijały się straszne głosy: "Krasnaja armia, marszał Woroszyłow" i niezrozumiałe rosyjskie okrzyki. Zawołałam moją matkę, która znała doskonale rosyjski i ta przetłumaczyła mi natychmiast: "Oni mówią, że Polska przestała istnieć, że rząd uciekł do Rumunii, a Czerwona Armia pod dowództwem Woroszyłowa wkroczyła zwycięsko na nasze wschodnie ziemie, aby uwolnić uciemiężone narody Ukraińców i Białorusinów i połączyć te ziemie z Ukrainą i Białorusią Sowiecką". Wydało mi się wtedy, że to koniec świata. I istotnie - to był koniec mojego pięknego świata.

Jeszcze przez kilkanaście dni przez triumfalne pienia sowieckich radiostacji przebijały czasami polskie głosy; przede wszystkim tragiczny, zachrypnięty głos prezydenta Warszawy Starzyńskiego, który w końcu powiedział, że z braku wody, prądu, gazu i żywności, Stolica musi się poddać. Tak się kończyła nasza niepodległość.

W okresie oblężenia Lwowa przez Niemców ojciec, którego niedługo przedtem mianowano majorem, został zmobilizowany do pracy w sztabie obrony Lwowa i zabrał z sobą mego brata, który jako harcerz był gońcem w tym sztabie. 22 września, w dniu wkroczenia do Lwowa Rosjan, ojciec wrócił do domu i ze zszarzałą z rozpaczny twarzą zdjął mundur.

My wszyscy byliśmy zrozpaczeni i kompletnie zdezorientowani, natomiast niezwykle radośnie witali Rosjan miejscowi Ukraińcy oraz znaczna część Żydów, szczególnie młodych, którzy w owym czasie w większości sympatyzowali z komunistami. To było dla nas okropne i niezrozumiałe, że tak strasznie cieszą się z upadku Polski. Rozumieliśmy, że nie muszą z tego powodu się tak martwić jak my, ale cieszyć się i kopać pokonanych? Ukraińcy już wkrótce zaczęli się

rozczarowywać do "wyzwolicielei", gdyż mimo gromkich deklaracji nowej władzy, do niepodległej Ukrainy było dalej niż za czasów polskich. Niemniej, na początku władza ta miała wiele pożytku z miejscowych zwolenników. Charakterystyczne dla ówczesnych nastrojów było zachowanie pewnej młodej Żydówki, z którą rozmawiałam w pociągu w pierwszych dniach okupacji. Otóż z upojeniem wręcz opowiadała ona jak bardzo kulturalni są sowieccy żołnierze:

"Każdy ma, proszę was, po trzy zegarki na rękę, i to dobre zegarki, szwajcarskie, ja się na tym znam, bo mój ojciec jest zegarmistrzem". Miałam ochotę babę zamordować, gdyż jedną z pierwszych rzeczy rabowanych na naszych terenach przez sowieckich żołnierzy były właśnie zegarki, a najbardziej znanym powiedzeniem - "dawaj czasy". Moja towarzyszka podróży była taką entuzjastką nowych władców, że nie zdawała sobie chyba sprawy z idiotyzmu swoich zachwyków. Nie ona jedna zresztą.

Zarówno Ukraińcy jak i Żydzi doskonale znali miejscową sytuację, co ułatwiło przygotowanie list proskrypcyjnych polskich działaczy społecznych i politycznych tego terenu. O ile moje informacje z tego okresu są ścisłe, ojca mego przyszli Rosjanie aresztować jako pierwszego. Było to już 22 września. W naszym domu zjawili się przed południem trzech enkawudzistów pytających o ojca. Powiedziałyśmy, że jest w pracy. Na szczęście, ponieważ ulice Lwowa były jeszcze rozkopane i zabarykadowane, Rosjanie musieli chodzić piechotą, a brat mój, znający lepiej miasto pobiegł zawiadomić ojca i razem poszli do znajdującego się naprzeciwko siedziby "Gazoliny" kościoła Marii Magdaleny. Po kilkunastu minutach z drzwi kościoła zobaczyli wchodzących do firmy enkawudzistów.

Mimo takiego memento, ojciec początkowo nie chciał ani się ukrywać, ani uciekać, powtarzając, że pracował uczciwie dla swojej ojczyzny i nikt nie może mieć mu tego za złe. Niestety, nie był to

pogląd nowej władzy. Ojciec zdecydował się więc w końcu przedostać na Węgry, aby móc dalej walczyć. Ponieważ działała jeszcze poczta do krajów nie objętych wojną, do Niemiec oraz wewnątrz Związku Radzieckiego, były możliwości porozumienia się z przyjaciółmi z różnych okolic. Dzięki temu już po dwóch dniach przyjechał po ojca syn naczelnego dyrektora naszej firmy, pracujący w okolicy Stryja, Zbigniew Wieleżyński.

Do Stryja dojechali bez trudności, albowiem Zbyszek umocował na samochodzie czerwoną chorągiewkę i gnał 100 km na godzinę, nie zwalniając przed żadnymi kontrolami. Nocowali w gazowni należącej do "Gazoliny". W nocy jak się okazało, z donosu jednego z pracowników cały teren został przeszukany. Tylko dzięki niezwykle przypadkowi ojciec uniknął aresztowania. Nocował mianowicie w małym pokoiku, do którego wchodziło się z sąsiedniego pokoju. Otóż dopóki drzwi z korytarza do tego pierwszego pokoju, były otwarte, zasłaniały całkowicie wejście do drugiego i rewidujący w ogóle tam nie weszli.

Rano ojciec odjechał natychmiast do Borysławia, gdzie zatrzymał się u naszych kuzynów, ^{Girzejowickich} którzy od ręki zorganizowali przerzut przez przeprowadzenia przez granicę podjętą przez ^{były} legionista, chłop ze wsi Najdan i Biesuszlady, granicę. Tymczasem jednak w górach spadły niespodziewanie wielkie śniegi i mimo doświadczenia przewodnika marsz przez bezdroża był niezwykle ciężki. W nocy napadła na nich banda dezertersów; przewodnik uciekł, a ojciec stracił część swoich rzeczy. Z trudem, umęczony śmiertelnie i nadal zrozpaczony, dotarł następnego dnia pod wieczór do małego miasteczka Smorze, położonego o parę kilometrów od granicy.

Zaraz na skraju osady natknął się na starego brodatego Żyda, który zwrócił się do niego w te słowa:

- Niech pan oficer nie idzie w tamtą stronę, bo tam stoi posterunek czerwonej milicji, gdzie już wielu takich złapali, a niektórych na miejscu zastrzelili.

- Dlaczego pan uważa, że ja jestem oficerem? - zapytał ojciec.

- Nu, ja na pewno nie wiem - odpowiedział Żyd - ale jak ja na pana spojrział, to sobie pomyślał, że pan jest pewnie pułkownik, co najmniej major, a może nawet generał. I choćby pan się jeszcze przez tydzień nie golił i chodził w cywilu, to tam na posterunku też poznają, że pan jest oficer.

- Jeśli mi pan tak dobrze radzi - powiedział ojciec - to niech pan powie, co mam teraz robić?

- Przez granicę to pan teraz nie przejdzie - powiedział po chwili wahania Żyd - bo już gęsto obstawili, a do tego śnieg tam leży i ślady są widoczne. Nu, niech pan zajdzie do mnie.

I poprowadził go do swego domu. Był piątek wieczór i właśnie zaczynał się szabas; cała rodzina zasiadła przy świecach do modłów, najpierw jednak ojca nakarmiono, położono do łóżka i nakryto pierzyną. Początkowo czuł się trochę nieswój, bo już rozeszły się pogłoski, że Żydzi sprzyjają bolszewikom i denuncjują Polaków; doszedł jednak do wniosku, że nie ma innego wyjścia jak zaufać gospodarzowi i spokojnie zasnął. Na drugi dzień odbyła się narada z udziałem zięcia gospodarza, woźnicy. Postanowiono, że przewiezie on ojca swoją furą pod sianem do Skolego. Tak też się stało. Na posterunku żołnierze pogadali chwilę z woźnicą i przepuścili furmankę, nie rewidując jej. W Skolem ojciec zatrzymał się u rodziny urzędnika "Gazoliny", Probstów i dał znać matce, aby do niego przyjechała.

Matka pojechała do Skolego 14 października, projektując przejście przez granicę w miejscowości Sławsko, gdzie przyjaciele rodziców ^{panstwo Kowalozenscy} mieli domek letniskowy. W Sławsku jednak cała granica była już również szczelnie obstawiona, a złapanych mężczyzn strażę sowieckie przeważnie na miejscu zabijały. Rodzice postanowili więc wracać do Lwowa.

Gdy na dworcu z niepokojem oczekiwali nadejścia pociągu, krążący po peronie czerwoni milicjanci - Ukraińcy wylegitymowali ojca i postanowili go zatrzymać. Nie wiadomo jak by się to wszystko

skończyło, gdyby nie jakiś człowiek, od pewnego czasu przypatrujący się pilnie ojcu. Podeszedł on do komendanta milicji i zaszeptał mu coś, co musiało zrobić wrażenie, bo komendant natychmiast zwrócił się do rodziców: "W porządku, możecie jechać".

Gdy pociąg szczęśliwie ruszył, do przedziału rodziców, ku ich przerażeniu, wszedł ten sam osobnik. Matka zaczęła opowiadać, że są uciekinierami z Królestwa i chcą jak najszybciej wracać do domu. Tymczasem ich podejrzany wybawiciel odezwał się na to:

- Po co pani opowiada, że jesteście z Królestwa? A kto ma willeę we Lwowie? - i tu wymienił nasz dokładny adres.

Matka zmartwiła, a osobnik zwrócił się do ojca:

- No cóż, panie pośle, jakoś to inaczej wyszło, niż pan na wiecach opowiadał?

Okazało się, że towarzysz podróży rodziców jest Ukraińcem ze Lwowa, a ostatnio był kierownikiem robót tuż koło naszego domu i dobrze znał ojca z widzenia. Przedstawił się jako Borys, nacjonalista ukraiński. Wyjaśniła się przyczyna szczęśliwego zakończenia przygody w Sławsku. Otóż tamtejszy posterunek opanowali właśnie ukraińscy nacjonaści, zaś komendantem był brat Borysa.

- Nie czas w obecnej chwili załatwiać dawne porachunki, dlatego nie przekazaliśmy pana władzom radzieckim. Radzę jednak jak najszybciej wyjechać z tego terenu - oświadczył Borys.

Trudno było się z tą radą nie zgodzić. Ojciec spędził jeszcze dwa tygodnie we Lwowie, mieszkając u brata Janusza Girzej^owskiego, który bez wahania zgodził się udzielić ojcu schronienia, choć dotychczas nie utrzymywaliśmy z nim specjalnie bliskich kontaktów. Pod koniec października, po jeszcze jednej nieudanej próbie ucieczki do Rumunii, zdecydował się w końcu przejść na stronę niemiecką. Pojechał do Przemyśla, gdzie na przejście przez granicę czekały dziesiątki tysięcy uchodźców wojennych, i 1 listopada, bez żadnej

kontroli, przeszedł szczęśliwie przez most na Sanie.

Ponieważ byli ludzie, którzy kursowali wówczas przez granicę tam i z powrotem, mogliśmy otrzymać wiadomości od ojca. Przywiózł je na początku pułkownik Sosabowski. Przebywał u nas parę dni, ale udało mu się przejść granicę i później walczył w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie.

W tym okresie były w naszym domu kilkakrotne rewizje. Pamiętam, pewnej nocy przyszli tłumnie enkawudziści i kilku z nich zaczęło biegać po domu, szukając gwałtownie kasy pancernej, gdyż byliśmy traktowani jako "kapitaliści", a kapitaliści mieli przecież masę pieniędzy i chowali je w kasach pancernych. U nas nie było żadnej kasy, biżuterii jakimś cudem nie zabrano, natomiast zabrali wszystkie ordery ojca. Najbardziej nam było żal orderu Virtuti Militari, który ojciec otrzymał w roku 1920 po bitwie pod Komarowem w kampanii bolszewickiej i bardzo pięknego i cennego włoskiego orderu "Corona d'Italia", ze złota.

Ⓐ
kente!
Ⓑ

Od połowy września dom nasz był pełen uchodźców z zachodu Polski, którzy uciekali przed Niemcami, a teraz usiłowali wrócić do siebie. [Ⓐ] ~~Niektórym to się udało,~~ inni urządzili się gdzie indziej. Ponieważ od razu było wiadomo, że całego domu nie utrzymamy, szukałyśmy lokatorów i nasze mieszkanie niebawem się zaludniło. ⒸⒷ

Wczesna i bardzo ciężka zima spowodowała, że we Lwowie, w którym nie było opału, nasz dom ogrzewany centralnym ogrzewaniem na gaz ziemny, był wspaniałym schronieniem dla bardzo wielu uchodźców, którzy przychodzili przynajmniej parę razy w tygodniu.

Przez ostatnie dni września i pierwsze października przewinęło się przez nasz dom również kilku przyjaciół ojca, ^{np. Stefan Golachowski,} oficerów, którzy przebierali się u nas w cywilne ubrania i szli dalej walczyć na Zachód. We Lwowie został natomiast przyjaciel ojca z wojny 1920 roku, pułkownik, Władysław Kotarski. Przeszedł do nas piechotą po bitwie w lasach Janowskich, zrozpaczony, zmordowany, z pokaleczonymi nogami,

- Ⓐ U listopadnie wjezdali od nas nasi bratři Fjodorow, i dawa dnetach PPS-Froliji Revolucyjnej, wielka przyjacielka moich rodziców, pani Prussowa (zginęła potem w Oświęcimiu, 18.I.45r.). Wyprawiali się też bratři - Piashowscy.
- Ⓑ Najpiękniej pamiętam u nas pani Otusiewicz, która była charakterystyczną osobą, wyjątkowo leżącą sercem, do której i ona chodziła z gminie cześć. Wypiali rodziców pamiętam u pani Kozłowej.

gdz siedł kilkadziesiąt kilometrów w butach kawaleryjskich. Został we Lwowie, aby prowadzić dalej walkę konspiracyjną i pod pseudonimami "Druh" i "Nadolny" działał w ZWZ. Do kwietnia 1940 roku był komendantem okręgu Lwów-Wschód, a następnie komendantem całego obszaru na trzy województwa południowo-wschodnie. *Moja matka była jego kochanką.* Został aresztowany pod koniec kwietnia 1940 roku. O dalszych jego losach nic pewnego nie wiadomo. Podobno został zamordowany we Lwowie.

Bardzo interesującą osobą była Maria Reymanowa. Komunistka, członkini rozwiązanej KPP, była zwolniona z pracy i miała jakieś kłopoty przed wojną. Mój ojciec interweniował w jej sprawie, co przyniosło dobry skutek i pani ~~Maria~~^{ia} wróciła do pracy. Uciekła do Lwowa, bo jako Żydówka nie mogła zostać po stronie niemieckiej. Tu dostała od razu pracę i mieszkanie, ale chyba tak jak my rozpaczła po upadku Polski, bo niezwykle dużo pomagała, nie tylko nam, informując o wszystkim, o czym miała możliwość dowiedzieć się dzięki swojej dawnej przynależności. Uprzedziła nas mianowicie, że ma być aresztowany dyrektor Ubezpieczalni pan Świdorski i prosiła, żeby go uprzedzić. Matka moja natychmiast pobiegła do niego, ale niestety nie uwierzył. Tej samej nocy został aresztowany i ślad po nim zaginął.

Matka była bardzo niespokojna także o nasze losy. Mnie zaraz zatrudniono w "Gazolinie", gdzie uczyłam się pisać na maszynie, ale zwolniono mnie przy kontroli pracowników już w styczniu 1940 roku. "Gazolina" była przedsiębiorstwem zupełnie nietypowym dla państwa kapitalistycznego, co niezmiernie gniewało nowych władców. Mianowicie wszyscy pracownicy byli akcjonariuszami spółki i sprawowali rzeczywistą kontrolę nad działalnością swego przedsiębiorstwa. Toteż wcale nie kwapili się do wyrzucenia dyrektora i swoich inżynierów, *z jednym wyjątkiem - panem robotnik, Spodarski, przyjeżdż z komisarzyem rodueliu* Natomiast poprzedni zarząd usiłował utrzymać choćby dawny spółdzielczy charakter przedsiębiorstwa, ale było to niemożliwe. "Gazolina" została przemianowana na "Ukrgaz", dyrektor naczelny,

wnędrze
w biurze
"Gazolinij"

inżynier Marian Wieleżyński, początkowo w ogóle usunięty z pracy, a inni członkowie zarządu - znakomity wynalazca inżynier Bruno Szymański i świetny handlowiec Szczęsny Tarnowski - zostali wkrótce aresztowani. *A widać!*

A widać!
Inżynier Wieleżyński ocalał dzięki pewnym zamierzczłym wydarzeniom. Otóż w latach 1905-1907 był działaczem PPS w Borysławiu i ratował uciekinierów z Królestwa, gdy zakamalała się tam rewolucja 1905 roku. Wśród jego podopiecznych znalazł się również Feliks Kon, późniejszy członek rządu komunistycznego, oczekującego w Białymstoku na upadek Warszawy w sierpniu 1920 roku. Kon, mimo licznych czystek, utrzymał się w Moskwie, po latach jako archiwista partii. Jego córka, Helena Usijewicz, członek KC KPZR, na polecenie ojca przyjechała do Lwowa i z wyżyn swego stanowiska wyjaśniła władzom we Lwowie, że pan Wieleżyński ma być pozostawiony wraz z rodziną na miejscu i traktowany z należyтым szacunkiem. Odwiedziła nawet państwa Wieleżyńskich i zapewniła ich, że nic im nie grozi. Istotnie, po paru dniach do ich willi zajechała czarna limuzyna z trzema wysokimi urzędnikami sowieckimi, którzy zapewnili pana Wieleżyńskiego o swoim szacunku i zaproponowali mu, by wrócił do pracy w laboratorium "Ukrqazu", jako wybitny specjalista. O ile wiem, p. Wieleżyński z tej propozycji nie skorzystał.

Nasza rodzina nie miała takiego niespodziewanego protektora, mogliśmy więc w tych nowych, trudnych warunkach radzić sobie sami.

Mój brat, który po maturze pragnął studiować chemię, zdał znakomicie egzamin na politechnikę i został przyjęty. Po kilku jednak dniach przeprowadzono weryfikację i powtórne egzaminy. I tym razem zdał znakomicie i został przyjęty. Przyszła jednak następna weryfikacja i brata usunięto bez prawa studiowania. Matka poszła interweniować u komisarza politechniki, ale ten powiedział jej, że dla syna "liszeńca" miejsca teraz nie ma, ale może w przyszłym roku będzie mógł studiować. Dodał, że przed wojną pewnie wielu było

(A) Peders avertorāna p. Szymanskijsa rakstus ar konkrētu
izpildē - entuziastisku vīrieti domājam ~~se~~ "jūs domā
se vīrietei "sveiciens" i interesanti ar gēniju viņa. Bet
Szymanskijs mē vārdi jau z. mēneša, Tarnowski sēdēt
ar asijāliem vīriem do lipa 41. ~~z. mēn.~~ Szymanskijs rāvēs
do Herodotam ^{rodinā} ^{izziņā} Ignacego Pizhnevica z
"Gersting", po viņ ^{saukum} ~~tas~~ vēlā šod reģistr.

takich, którzy nie mogli studiować z wielu względów, więc brat, który przecież jeszcze jest młody, może spokojnie poczekać.

Dopóki ja pracowałam w "Gazolinie" wdawało się, że jakoś uda się nam przetrwać. Zdarzały się nawet epizody wręcz komiczne. Jeden z nowo nastających inżynierów, Rosjanin, upatrzył sobie mieszkanie w naszej willi, ale też zaproponował, że się ze mną ożeni, to będzie jakoś tak wygodniej - od razu mieszkanie i żona. Argument, że mam już narzeczonego i wcale nie zamierzam wyjść za kogoś innego, nie zrobił na nim wrażenia. A gdy dowiedział się, że mój narzeczony jest w Wilnie, z całym przekonaniem zapewniał, że na pewno się już nie zobaczymy, bo przecież nigdy nie wyjedziemy ze Związku Radzieckiego.

24 października 1939 roku odbyło się we Lwowie "głosowanie" za przyłączeniem Zachodniej Ukrainy do ZSRR. Poprzedzała je zupełnie szalona propaganda. Wszyscy musieli głosować, co polegało oczywiście tylko na wrzuceniu do urny kartki z odpowiedzią pozytywną. Przed głosowaniem całymi dniami po mieście jeździły ozdobione czerwonymi flagami i transparentami ciężarówkami, wyładowane przeważnie żydowską młodzieżą śpiewającą pieśni rewolucyjne, łączą Polskę i Polaków, sławiącą Związek Radziecki i jego dobrodziejstwa, które spłynęły na Zachodnią Ukrainę. Uparłam się i postanowiłam nie głosować. Nie wiem, jakim cudem mi się to udało, bo przecież nawet po bardzo chorych przyjeżdżały specjalnie samochody i ciągle kontrolowano, czy już wszyscy z domu byli w lokalu wyborczym. W każdym razie ja za przyłączeniem Lwowa do Rosji nie głosowałam, czym się mogę poszczycić. Wkrótce po tej imprezie przypadła 21 rocznica naszej niepodległości, 11 listopada. Było okropnie smutno, ale postanowiłam jakoś to święto uczcić. Miałam w pracy maszynę do pisania i napisałam kilkanaście ulotek "Polska żyje", które z wielkim strachem rozrzuciłam w tramwajach.

W tym czasie zaczęto przeprowadzać stałe uświadamiające pogadanki o sytuacji politycznej i różnych sprawach. Po referendum

szykowano się przecież do wyborów uzupełniających do Rady Najwyższej ZSRR. Pamiętam, że ze Lwowa kandydowała m.in. Wanda Wasilewska. Agitator, który przychodził do naszego domu co najmniej dwa razy w tygodniu, wygadywał mnóstwo bzdur, co jednak wcale go nie peszyło. Pewnego razu tłumaczył nam, że przed wojną kobiety w Polsce nie miały prawa głosowania. Wszyscy obecni oburzyli się na to i stwierdzili, że wręcz przeciwnie, miały wszelkie prawa. "No, to nie mają w Japonii" - spokojnie stwierdził agitator. Gorsze jednak do zniesienia było jego absolutne przekonanie, wmawiane nam stale, że Polski już nigdy nie będzie i być nie może. Pamiętam, że matka moja, która pracowała jako dozorczyńni, nie bojąc się wcale kłóciła się z nim, że przecież może być na przykład Polska komunistyczna, 17-ta republika ZSRR czy coś podobnego.

- O nie - odpowiadał z głębokim przekonaniem. - Polszy nie budiet, Polszy nawierno nie budiet.

Wszyscy ogromnie bali się Rosjan, ale widywani przez nas, zazwyczaj pojedynczo Rosjanie byli zupełnie sympatyczni. Gdy kiedyś odgarniałyśmy śnieg sprzed naszego domu, co było obowiązkową pracą matki, jako mianowanej dozorczyńni, przechodził koło nas jakiś młody żołnierz i po cichu, szybko powiedział do nas: "Pomagaj Boh". Wygląd mieli ci żołnierze nieszczerólny. Wszyscy absolutnie byli zielonkawo bladzi, chudzi, raczej niewyrośnięci i ubrani w mundury z materiału w bardzo złym gatunku, prawdopodobnie z pokrzywy. Chorowali też na różne przedziwne choroby. Na przykład komisarz bolszewicki firmy "Gazolina" miał wszy w rzęsach na powiekach. Było to po prostu straszne i nie dziwię się, że był zawsze we wściekłym humorze.

Żołnierze mieli stosunkowo dużo pieniędzy i wykupywali wszystko, co tylko było w sklepach. A powstały nowe sklepy komisowe oraz tzw. Bakalie-Gastronomie z luksusową żywnością, na przykład kawiozem, choć niemal nigdy nie można było zwyczajnie kupić mleka, cukru czy kawałka mięsa. Lwów - miasto nie mające przed wojną czterystu tysięcy

mieszkańców - teraz mieścił ich milion. Toteż było niezwykle ciasno w domach, tłoczno na ulicach i w bardzo wtedy licznych kawiarniach.

W listopadzie przeszedł przez zieloną granicę do nas brat męża mojej ciotecznej siostry, Witold Grygiel, który przyniósł wiadomości od ojca i całej rodziny. Ojciec był na razie u rodziny w Łodzi, ale niebawem kóź została włączona do Reichu i wszyscy musieli się wynieść. Witek przeszedł szczęśliwie z powrotem jeszcze trzykrotnie i w końcu zabrał mego brata, o którego okropnie martwiłyśmy się, gdyż groziło mu powołanie do wojska, co byłoby wręcz klęską.

Witek z Bronkiem wyszli do granicy 23 stycznia 1940 roku i na samej granicy zostali złapani przez rosyjski patrol. Znaleźli się w tymczasowym, nieogrzewanym areszcie.

W tych dniach szczęśliwie ociepliło się i po 20-30 stopniowych mrozach temperatura podniosła się do minus 8-10 stopni. Witek i Broniek mieli ze sobą, ukryte w chlebie i bułkach, znaczne sumy pieniędzy, przeznaczone dla rodzin w Warszawie. Większą część pieniędzy jednak Witek miał w plecaku i to mu zabrano. Nie mogli więc jeść chleba, co dziwiło współwięźniów, ale jakoś szczęśliwie przetrzymali i tę trudność. Ponieważ twierdzili uparcie, że przyszedli od strony niemieckiej, po trzech dniach po cichu przerzucono ich "z powrotem" do Niemców.

Po ucieczce mego brata, w zwolnionym przezeń pokoju zaraz zakwaterował się obrzydliwy typ - oficer-enkawudzista, który pilnował nas z matką tak, że nawet trudno było słuchać radia. Zresztą audycje polskie z zagranicy już wtedy były zagłuszane, natomiast ja słuchałam stale radia po francusku, a matka - po rosyjsku.

We Lwowie było smutno, zimno i straszno, ale represje miały wciąż charakter indywidualny i dotyczyły ludzi jakoś znaczących, zresztą nie tylko Polaków. Aresztowany został na przykład czołowy ukraiński działacz nacjonalistyczny, dr Pańczyszyn. Już w lutym jednak przyszły tragiczne wiadomości o wywożeniu całych wsi na Sybir.

O Kazachstanie usłyszeliśmy dopiero wtedy, gdy zaczęły nadchodzić pierwsze listy. Wywożono bardzo wielu ludzi, a że zima była ostra, w towarowych wagonach marzły i marły masowo wywożone dzieci. Ze wschodnich terenów Rzeczypospolitej wywieziono wtedy około 200 000 ludzi. Była to pierwsza wielka fala masowych wywózek, które później stały się chlebem powszednim wszystkich Polaków, a nawet niekiedy Ukraińców i Żydów z tych okolic.

Mimo że ukraińscy nacjonaści byli już nieco zawiedzeni nowymi panami, to tu jednak rządili. Miasto było ukrainizowane, ulice przechrzczono, wszędzie wprowadzano język ukraiński. Można jednak było mówić po polsku, wychodziła polska gazeta "Czerwony Sztandar", funkcjonował jakiś związek pisarzy polskich z Putramentem na czele, w naszym środowisku uważany za związek zdrajców i przekupionych.

Kościół, jeszcze nie zamknięte, -zawsze były przepełnione. Ludzie szukali tam pociechy i czasem ratunku, co jednak było bardzo trudne. Zaczęły się prześladowania księży, choć na razie umiarkowane. Zostali oni nazwani "raboczyje kulta" i ściśle kontrolowani. Ale jeszcze mogli jakoś działać.

Opowiadano sobie po cichu dowcipy o Rosjankach występujących w teatrze w nocnych koszulach, uważanych przez nie za suknie balowe, o przygodach ludzi, którzy uwierzyli pięknie brzmiącej propagandzie. Jeszcze w listopadzie grupy młodych, szczególnie bezrobotnych Żydów, wyjechały do kopalni w Donbasie do pracy. Opowiadano, że pewien wyjeżdżający umówił się ze swoim przyjacielem, że napisze do niego, jak tam jest naprawdę, ale jeśli będzie odwrotnie niż pisze - bo już wtedy wiadano o cenzurze - napisze czerwonym atramentem. Po pewnym czasie przyszedł od niego list, pełen zachwytu, jak to wszystko jest w tym Donbasie i jak mu jest dobrze - tylko w post scriptum było: "Ale wyobraź sobie, że nie mogłem tylko nigdzie dostać czerwonego atramentu".

Znacznie częściej jednak dowiadywaliśmy się o tragediach. Mąż

pani Marii Rejmanowej, który pozostał w Warszawie, w styczniu lub w lutym usiłował przedostać się do żony do Lwowa. Aresztowany na granicy, z największym trudem zdołał wyrzucić w czasie przejazdu przez Lwów kartkę z adresem żony i z prośbą, aby ją znalazca doręczył. Przebywał w obozie. Żona, komunistka i działaczka zwróciła się do prokuratora z pytaniem o męża. Odpowiedział, że nie ma go w żadnych spisach i nie wiadomo, gdzie może być. Rozżalona pani Maria powiedziała, że przecież nawet bydło jest jakoś rejestrowane i spisywane, na co prokurator spokojnie oświadczył: "Tacy jak wasz mąż, są gorsi niż bydło. Oczywiście, gdyby był zwierzęciem, to byśmy wiedzieli gdzie jest".

Bardzo trudno było kupić cokolwiek z żywności. Okazywała się przy tym zamierzona złośliwość władz. Na przykład sprzedawano w niedzielę Wielkanocną cukier, po kilogramie na osobę, i w ten świąteczny dzień od świtu długie kolejki stały przed sklepami. Sytuacja wydawała się nam już nie do zniesienia, a przecież miało być jeszcze o wiele gorzej.

Do Generalnej Guberni przedostać się było coraz trudniej. Od ojca i brata miewaliśmy z rzadka wiadomości, niekiedy bardzo okólnymi drogami. Na przykład o szczęśliwym dotarciu brata do Warszawy dowiedzieliśmy się z telegramu wysłanego z Rumunii przez jego kolegę, który tam zawędrował. Brat napisał do niego z Warszawy, a w jakiś czas potem przyszła depesza: "Matura gemacht, Broniek gesund". Choć w zasadzie można było komunikować się z całym światem, nie wolno było w telegramach używać języka polskiego. Do mego narzeczonego w Wilnie telegrafowałam więc po francusku.

Na początku kwietnia pani Rejmanowa zawiadomiła nas, że jesteśmy "na liście", choć nie bardzo jeszcze wiedzieliśmy co to znaczy. Natomiast administrator naszej dzielnicy wezwał raz matkę i pytał, jakie ma zamiary. Matka odpowiedziała, że chcemy jakoś przetrwać w

(A) →
wersja!

Ⓐ - Прелюбоу сеі елементарных предисловіи - мена
корытка ромаст гориюв мисіата днїа... енаціонне
сплуровлі.

naszym domu, mamy ogród, trochę rzeczy na sprzedaż, a ja może dostanę jakąś pracę. "Nie, powiedział urzędnik, ja radzę pani gdzieś wyjechać, bo tu pani i tak nie zostanie". Wobec takiej perspektywy matka sprzedała naszą porcelanę, komplet sztucców i zaczęłyśmy szukać możliwości ucieczki do rodziny w Warszawie. Po rozważeniu sprawy doszłyśmy do wniosku, że słabiej pilnowana jest granica między Zachodnią Białorusią a GG, ~~χ~~ ponadto są tam powiaty czysto polskie, nawet w owych czasach traktowane odrębnie.

Przyjaciele naraili nam jakiegoś przewodnika, a my kupiłyśmy bilety kolejowe do Baranowicz. Stamtąd planowałyśmy udać się do Białegostoku, skąd już było stosunkowo blisko ~~blisko~~ do nowej granicy.

Miałyśmy wyjechać w sobotę 13 kwietnia, o godzinie ~~χ~~ 14-tej. Zapakowałyśmy najpotrzebniejsze rzeczy do plecaka, a w przeciwieństwie do kilku poprzednich, tę ostatnią noc postanowiłyśmy przespać w domu. Wykąpałyśmy się, umyłyśmy głowy, ale nie mogłyśmy zmrzyć oka. Spałyśmy razem z matką na szerokim tapczanie w naszym pokoju i bez przerwy słyszałyśmy szum motorów samochodowych jeżdżących po ulicach. przyczynę tego niezwykłego ruchu poznałyśmy dopiero nieco później.

Nadszedł już świt, było około piątej rano. Matka wstała, wyrzwała z przedpokoju na ulicę i wpadła z powrotem:

- Przyjechali po nas! Przed furtką stoi ciężarówka z żołnierzami.

Na to ja wyskoczyłam z łóżka:

- No to uciekamy!

Cały czas byłam niezłomnie przekonana, że na żaden Sybir nie pojedę.

W naszym ogrodzie była malutka cieplarnia, cała oszklona, z wyjątkiem kawałka przy ścianie tuż przy solidnych drewnianych drzwiach. Chwyciłyśmy płaszcze, torebki, i w rannych pantoflach

wybiegłyśmy tylnymi drzwiami do ciepłarni. Tu ukucnęłyśmy pod drzwiami, które zamknęłam na klucz od wewnątrz, wyjęłam klucz z dziurki (szkoła powieści kryminalnych) i zasłoniłam tę dziurkę klapką, w którą były wtedy zaopatrywane wszystkie porządne zamki. Po chwili w naszą stronę zaczęły zbliżać się czyjeś ciężkie kroki. Ten ktoś najpierw wygnał z budynku ^{na nary} psa, Morusa, który zaczął potwornie szczekać, a następnie wypuścił kury z sąsiadującego z nami kurniczka. Kury również podniosły nieprzeciętny wrzask. Wreszcie doszedł do naszych drzwi. Przeszłyśmy niemal oddychać. Ktoś zaczął szarpać klamkę, a potem podszedł do oszklonej części ciepłarni i zaglądał do wnętrza. Nas - skulonych pod drzwiami - na szczęście nie było widać. Potrząsł jeszcze trochę drzwiami i wreszcie poszedł sobie.

Siedziałyśmy dalej cicho jak myszy pod miotłą. Po jakimś czasie, który wydał mi się nieskończenie długi, odezwał się cichy głos mieszkającej u nas, jeszcze szkolnej koleżanki mojej matki - pani Wandy Krechowickiej: "Jadziu, Jadziu..." Po cichu powiedziała nam, że samochód odjechał, natomiast w naszym pokoju usiadł na straży jeden z żołnierzy, ale niemal natychmiast oparł głowę o stół i zasnął. Czeka na nas, ponieważ nasz ~~pasztor~~ ^{kolporter,} enkawudzista, powiedział: "one na pewno gdzieś są, kąpały się wczoraj i z pewnością tu nocowały". Pani Wanda, indagowana przez żołnierzy, powiedziała, że poszłyśmy do sklepu, co mogło być prawdopodobne, bo żeby cośkolwiek kupić nieraz trzeba było stanąć w kolejce już o piątej rano. Pani Wanda wyniosła nasz plecak i trochę zostawionych w pokoju ubrań. Ubrałyśmy się i okrążając dom wyszłyśmy na ulicę. Nigdy już do domu nie wróciłam.

Okazało się, że tej właśnie nocy i następnego dnia przez tereny całej wschodniej Polski przeszła druga fala masowych wywózek. Podobno z samego Lwowa wywieziono wtedy 17.000 ludzi, a z całych terenów wschodnich - 200.000.

My na szczęście miałyśmy już przygotowany wyjazd, ^{na gal. H,} ale ^{na nary} ~~do czasu~~

~~podjazdu pociągu~~ trzeba było coś ze sobą zrobić. Najpierw poszliśmy do państwa Wieleżyńskich, gdzie przyjęto nas szalenie serdecznie, nakarmiono i udzielono jeszcze trochę pomocy. Następnie ja poszłam do koleżanki, a matka ^{do Ełki Biskupskiej} do mieszkania państwa Ostrowskich, gdzie mnóstwo osób składało swoje rzeczy, obrazy czy kosztowności, wierząc, że temu wielkiemu profesorowi medycyny, szanowanemu i znanemu na całym świecie, nic nie grozi. Rzeczywiście, za czasów sowieckich nic tam się nie stało. Natomiast niemal natychmiast po wkroczeniu Niemców, w końcu czerwca 1941 roku, miejscowi bandyci ukraińscy, doskonale zorientowani w rzeczywiście olbrzymich bogactwach zgromadzonych w ~~tym~~ ^{niemowlu} domu, wpadli tam i zamordowali wszystkich, którzy schronili się w tym uważanym za pewne miejscu. Zginęła tam wówczas również pani ~~Martha~~ ^{Martha} Rejmanowa, której tak wiele zawdzięczałyśmy.

Tymczasem jednak na dworcu we Lwowie spotkałyśmy przed czternastą naszego przewodnika. Był bardzo niesympatyczny i matka nie miała do niego ani odrobiny zaufania, a wręcz wstręt. Na razie jednak byłyśmy zdane na jego pomoc. Wyruszyliśmy.

Tory kolejowe, którymi jechał nasz pociąg do Baranowicz były podzielone - jeden miał poprzednią, europejską szerokość i po tym poruszał się nasz pociąg, natomiast po sąsiednim, już przerobionym na szerokość radziecką, jechały pociągi wywożące wysiedleńców do Kazachstanu. Maszyniści, niewątpliwie Polacy, niejednokrotnie utrzymywali obok siebie oba pociągi tak, że mogłyśmy patrzeć przez okno na jadące obok towarowe wagony nawet przez kilkanaście minut. Wagony te miały tylko niewielkie okienka u góry i przez te okienka matki wysuwały, widocznie nie mogące oddychać w zatłoczonych wagonach, małe dzieci, które do nas machały. Słyszałyśmy również śpiewane w tych tragicznych wagonach "Jeszcze Polska nie zginęła". Był to widok wstrząsający. Matka moja zaczęła rozpaczać, że nie mamy prawa uciekać, że powinnyśmy jechać z tymi wywozonymi i starać się im pomagać. Mnie się jednak zdawało, że pomóc mogłybyśmy niewiele, co

się okazało o tyle słuszne, że wywożonych rozdzielano na małe grupki i umieszczano w oddalonych od siebie kolchozach. Wątpliwe, czy mogłybyśmy się tam gdziekolwiek przydać.

Jechałyśmy więc dalej w straszliwym tłoku. Miałyśmy miejsce siedzące przy oknie i przez całą drogę, aż do rana następnego dnia nie było mowy, aby się stamtąd ruszyć. Pociąg był starego typu - bez korytarza - i w czasie podróży przez Wołyń widziałyśmy, jak w drzwiach uwieszali się miejscowi chłopci, obarczeni straszliwymi worami z ziarnem. Pamiętam jak jęczeli "pomyłujcie, pomóżcie", bo co chwila groziło im odpadnięcie od otwartych i kiwających się drzwi wagonu. Konduktorką była młoda dziewczyna, która jakoś przedostawała się od przedziału do przedziału po zewnętrznych schodkach, bo bilety kontrolowano bardzo starannie. Na szczęście, ponieważ pociąg jechał na wschód, żadnych innych kontroli nie było.

W niedzielę rano dojechałyśmy do Baranowicz. Nasz przewodnik kupił bilety i pojechałyśmy dalej - do Białegostoku. Tam zaprowadził nas do jakiejś swojej meliny, ~~gdzie~~ ogrzałyśmy się trochę i poszłyśmy z naszym przewodnikiem na stację. Miałyśmy kupić bilety do miejscowości Śniadowo - leżącej już niedaleko od granicy. Pamiętam, że kasjerka, która zapewne nie bardzo się orientowała w małych stacyjkach kolejowych, sprzedała nam bilety do miejscowości Sadowno, znajdującej się już po tamtej stronie. Dla nas nie miało to oczywiście żadnego znaczenia, bo pociągi przecież i tak przez granicę nie chodziły.

W naszym przedziale siedziało kilku żołnierzy sowieckich, którzy na każdej stacji powtarzali głośno - i jak nam się zdawało - groźnie - nazwę stacji Czerwony Bór, na której mieliśmy wysiąść przed Śniadowem. Tak przestraszyliśmy się tych groźnych głosów, że w końcu pojechaliśmy do Śniadowa. Dobiegała druga doba naszej ucieczki, gdy o trzeciej w nocy z niedzieli na poniedziałek, straszliwie zmęczone i nie mniej przestraszone, wysiadłyśmy w Śniadowie z pociągu. Nasz

przewodnik~~ki~~ natychmiast gdzieś przepadł, a nas już o kilkanaście kroków od stacji zatrzymali milicjanci. Z pewnością obowiązywała tu godzina policyjna, ale nawet nie zdążyłam się dowiedzieć od której do której. Milicjanci doprowadzili nas bowiem do posterunku i znalazłyśmy się w izbie, w której wśród ciemności majaczyły postacie sześciu kobiet leżących na resztkach słomy. Wydawało mi się, że wszystko już się skończyło i teraz można tylko odpocząć. Położyłyśmy się więc na tej niemal gołej podłodze i natychmiast zasnęłyśmy.

Rano okazało się, że oprócz sześciu kobiet w naszej izbie znajduje się dwudziestu ośmiu mężczyzn. Pilnował nas cały czas, siedząc na krześle z karabinem, polski czerwony milicjant. Do jedzenia dostawałyśmy tylko czarny chleb, a oprócz tego można było sobie kupić jajka na twardo i bardzo słodką herbatę z karmelu z dużą ilością cukru. Matka moja w ogóle nie mogła jeść i była w rozpaczliwym stanie.

Zaczęto nas przesłuchiwać. Uporczywie twierdziłyśmy, że jesteśmy ze strony niemieckiej i jako "bieżenki" chcemy wracać do domu. Ponieważ urodziłam się w Piotrkowie Trybunalskim, więc brzmiało to wiarygodnie. Wszyscy nasi współlokatorzy również twierdzili, że przechodzą przez granicę do Rosji z Niemiec, bo krążyła jeszcze opinia, że w takim wypadku Rosjanie przerzucają z powrotem do okupacji niemieckiej. Od 1 lutego jednak wszystkich zabierano normalnie do Rosji, nie bacząc na ich twierdzenia.

Wśród nas było także kilka Żydówek, które chciały przejść do Warszawy. Dziwiło nas to, ale one twierdziły, że wolą Niemców od Rosjan, bo Niemcy to przecież kulturalny europejski naród, a tu się nie da żyć.

W dwóch izbach zajętych przez aresztantów panował straszny brud, słoma na podłodze była wytarta i pełna wszy. Do ubikacji wypuszczano nas raz dziennie, rano. Z tego małego wiejskiego wychodka na końcu

sielskiego podwórka można było niesłychanie łatwo uciec, ale co dalej zrobić bez pieniędzy i rzeczy?

Oprócz milicjanta, który dosyć ponuro siedział w naszej izbie z karabinem w ręku, aresztem zajmowało się dwóch Rosjan. Jeden z nich prowadził z moją matką długie, bardzo sympatyczne rozmowy, zwracając się do niej "Jadwiga Osipowna" (ojciec matki miał na imię Józef). Powiedział między innymi, że jest wnukiem Polaka zesłanego na Sybir po powstaniu 1863 roku. Gdy po kilku dniach zrobiła się ładna, cieplejsza pogoda, wypuszczał nas obie na podwórze, mówiąc: "Oddychajcie, Jadwiga Osipowna, oddychajcie". Miał bujną, wręcz olbrzymią, ciemną czuprynę i wspaniałe szafirowe oczy. Był jednak jakoś zupełnie zwariowany i co parę godzin wlatywał do naszych izb i wrzeszczał w niezrozumiały dla mnie sposób. Prawdopodobnie wymyślał nam od wrogów czy coś w tym rodzaju. W każdym razie na krzykach tylko się kończyło.

Trzeciego dnia wprowadzono do nas parę małżeńską z maleńkim, parotygodniowym dzieciątkiem. Okazało się, że jest to rodzina gajowego z okolicznych lasów; chcieli oni przedostać się pod okupację niemiecką, gdyż wszyscy gajowi i leśniczy byli bezwzględnie wywożeni, jako znający znakomicie teren i najłatwiej mogący przejść lub przeprowadzać przez granicę. Kobieta drżała i płakała, jeszcze chora po porodzie. Dla dzieciątka ten lepszy bolszewik kazał przynieść mały, kulawy stolik, który pełnił rolę łóżka i kołyski. Dałyśmy tej kobiecie moją koszulę nocną, bo nie miała nawet żadnych pieluszek dla maleństwa. Byli z nami jednak bardzo krótko, bo zaraz przyjechała po nich ciężarówka i wywiozła w nieznaną.

Siedziała z nami również pewna rodzina ze Śląska - matka, ojciec i dziesięcioletni synek. Kobieta ta opowiadała nam, że zaraz po zajęciu przez Rosjan terenów aż do Wisły, skąd cofnęli się na obecną granicę dopiero po 28 października, oboje z mężem, który był górnikiem na Śląsku, postanowili przenieść się do jakiegoś zagłębia

węglowego w Rosji.

- Nie ma tam bezrobocia, ^X myślałam - mówiła nam kobieta - syna wykształcę^X.

Zabrali stosunkowo dużo rzeczy, pościel, firanki. W Donbasie rzeczywiście przyjęto ich i nawet dostali jakieś pomieszczenie. Po krótkim czasie zrozumieli, że życie tu jest znacznie cięższe niż mogli sobie wyobrazić, a ponadto byli przez miejscowych bardzo źle traktowani. "Co wy za robotnicy? Firanki macie, wy burżuje!" - mówiono do nich. Postanowili więc wracać do siebie, ale złapani po drodze, znaleźli się razem z nami w areszcie.

Była też z nami żona oficera z Białegostoku z córką, bardzo dzielną dziewczynką, najwyraźniej harcerką i wątłym, chorowitym młodszym synem. Bali się wszyscy bardzo i nawet pani ta nie chciała z nami rozmawiać.

Dni mijały, aż przyszła sobota 20 kwietnia. Tego dnia zdarzył się cud. Ten lepszy bolszewik, zaprzyjaźniony z matką, wszedł rano do aresztu i powiedział spokojnie: "Paszli wszyscy won". Po prostu wyznał nas na wolność. Oddał nam też plecak z rzeczami i usiłował nawet matce wpychać jeszcze jakieś inne, cudze rzeczy, ale tych oczywiście nie chciałyśmy zabrać.

Matka moja była w stanie takiego wyczerpania, że ciągnęła mnie, aby zaraz iść na stację i jechać do Lwowa, ale ja postanowiłam sobie wtedy, że do Lwowa nigdy i za nic nie wrócę - i jak dotąd dotrzymałam słowa. Ponieważ widziałam, że żadne rozsądne argumenty do matki nie przemówią, zaproponowałam, żebyśmy wstąpiły do kościoła, który był tuż obok ryneczku, i pomodliły się. Na to się zgodziła.

- Chodźmy jeszcze na plebanię i dajmy na mszę - zaproponowałam.

I na to uzyskałam zgodę. Na plebanii wyszedł do nas starszy, rubaszny proboszcz i gdy matka wręczała mu jakąś ogromną na owe czasy sumę 30 czerwońców na mszę, zapytał:

- A na jaką intencję?

- że nas Pan Bóg z więzienia wyzwolił - odpowiedziałyśmy zgodnie.

- A za co siedziałyście? - zapytał znów.

- Bo chciałyśmy przejść przez granicę.

- A teraz już nie chcecie?

- Chcemy, chcemy - krzyknęłam - tylko mamusia jakoś się przestraszyła.

- To zostańcie u mnie, coś się poradzi - powiedział ten poczciwy ksiądz.

Zaraz też dano nam w kuchni jeść; pamiętam, był wspaniały indyk ze śliwkami. Pozwolono nam się trochę umyć i mogłyśmy odpocząć w przyparafialnym domu. Miałyśmy tam do spania raczej wąską kozetkę, ale i tak byłyśmy niewymownie szczęśliwe. Niestety, ja nabawiłam się już wszy i na razie nie było możliwości wytepienia ich.

Po kilku dniach ksiądz proboszcz przypro^{Staszko Borawski}wadził nam przewodnika, który już kilkakrotnie przechodził granicę i podjął się nas przeprowadzić - za złote spinki mojego ojca, które miałyśmy jeszcze ze sobą. Następnie jedna z tamtejszych mieszkanek, pani Wasilewska, za poręką księdza i za złotą bransoletkę matki (którą zresztą, jak mówiła, odda po wojnie), wzięła przepustkę na dojazd do swojej ziemi w pobliżu granicy dla siebie i swoich dwóch córek i późnym wieczorem we wtorek 24 kwietnia dowiozła nas w pobliże granicy. Tam spotkaliśmy się z naszym przewodnikiem i jeszcze jakąś miejscową dziewczyną, która też wybierała się do Warszawy - na zakupy.

Granica była gęsto odrutowana, a co gorsza, na 800 metrów od niej ciągnął się pas zaoranej ziemi, na której widać było wszystkie ślady. Rosjanie chodzili z psami i rzucali co chwila wolno opadające na spadochronach rakietę świetlne. Nasz przewodnik znał bardzo dobrze teren i do samej granicy prowadził nas po bagnach, na których psy nie mogły chwycić śladu. Noc była bardzo ciemna, gdyż księżyc wschodził

dopiero nad ranem. W chwilach gdy zapalały się nad nami światła, padaliśmy wszyscy plackiem na ziemię. Szłam bosą, co było chyba w tym bagnie łatwiejsze niż wyciąganie oblepionych błotem bucików.

Wyszliśmy po zachodzie słońca, około ósmej, a około czwartej nad ranem, padając i wlokąc się niesłychanie wolno, doszliśmy do granicznych drutów kolczastych. Było to nad rzeczką Źrz, przez którą przeprawiliśmy się, jak przez głębszy bród. Weszłam do tej wody i przeszłam przez nią, ale nie pamiętam czy była zimna. Druty kolczaste nie były jeszcze na szczęście naelektryzowane i udało się nam przecisnąć pod nimi, czółgając się po ziemi. Paręset metrów dalej znów ciągnęły się druty, oznaczające początek terenu niemieckiego, ale były gładkie i luźne; przejście przez nie nie sprawiło nam najmniejszych trudności. Szliśmy dość długo pod wschodzącą księżycem i jeszcze przed świtaniem doszliśmy do pierwszych zabudowań wioski Malichy. Zrobiło się bardzo zimno. Nasz przewodnik i dziewczyna znikli gdzieś, a my zapukałyśmy do najbliższej chaty. Gospodyni już nie spała, ale powiedziała, że przed dniem do chaty nie wpuści. Tutaj też obowiązywała godzina policyjna i panował strach. Puściła nas do stodoły, w której nie było już nawet odrobiny siana czy słomy i wtedy dopiero zrobiło mi się zimno.

Drużki raz w życiu zmarzłam tak dopiero w czasie Powstania Warszawskiego, po śmierci jednego z przyjaciół. Trzęsłam się cała i za nic w świecie nie mogłam się rozgrzać, choć tuliłyśmy się do siebie z matką. Ale i ta godzina do dnia minęła, a kobieta z chaty wpuściła nas i dała prawdziwego gorącego mleka. Oczyszczyłyśmy się trochę, wysuszyły i poszłyśmy cztery kilometry dalej na stację kolejową Jelonki, gdzie za zachowane jeszcze dawne polskie złote kupiłyśmy bilety i pojechałyśmy do Warszawy.

Tak się zakończyła nasza ucieczka.

wstawka

Tej piątkowej nocy rozpoczęło się masowe wywożenie ludzi ze Lwowa na wschód. Później już opowiadano nam, że pewna przeznaczona do wywiezienia wdowa po wyższym oficerze, kompletnie sparaliżowana, miała opiekunkę - służącą. Oficer, który przyszedł z nakazem wywiezienia zastanowił się nad sytuacją i udał się do swojej władzy po radę. Rokaz brzmiał - wywieźć. Oficer sowiecki, widząc że kobieta sama w ogóle nie może się ruszyć, kazał zabrać również jej pomocnicę, mimo że wcale nie figurowała na liście wywozek. Nieszczęsna sparaliżowana po trzech dniach w pociągu umarła, a jej opiekunka wróciła do kraju dopiero w 1956 roku. ~~by~~ próbowała raz przedostać się z Kazachstanu do Lwowa, ^{ale} została schwytała po drodze i skazana na 10 lat obozu, ~~by~~ napisano w wyroku, "za to, że usiłowała wrócić do miejsca swego poprzedniego zamieszkania".